

Grzegorz Markowski: Zgrzeszyłem...

Ola Kwaśniewska

„Alkohol, narkotyki, kobiety i muzyka. To najbardziej nakręca rockmanów”, mówi Markowski. Jak bardzo on sam korzystał z życia wyznaje Oli Kwaśniewskiej.



fot. Marcin Kempki/ILIKE-PHOTO.COM

– **Jeśli lider kultowego zespołu wydaje solową płytę, to cieszy się, że nie będzie musiał dzielić splendoru z kolegami?**

Grzegorz Markowski: Być może byłbym łasy na popularność i pieniądze, gdybym tego nie miał. A tak? Zawsze próżność artysty i jego ego są ogromne, ale tu chodzi o coś innego. Jak patrzę na kobiety, to myślę, że założyłbym sobie harem. Gdy na alkohol, myślę: O, tego jeszcze nie próbowałem. Z piosenkami jest podobnie. Mam apetyt na życie, poznanie nowych ludzi i tworzenie nowych dźwięków.

– **Próżność artysty nie cierpi na tym, że dziś trudniej o poklask?**

Grzegorz Markowski: W latach 80. polska elita to było raptem pięć kapel. I było łatwiej, bo w kontrze do komunizmu społeczeństwo było skonsolidowane. A nas, artystów, postrzegano jako solidarną rodzinę, która daje powiew wolności – mniej czy bardziej elegancki. Raz to były fajne happeningi, innym razem zwykłe chamstwo, ale widziano w tym jakiś sens. A dziś? Skiba zdjął gacie, wypiął się na premiera Buzka i co?

– **I nic.**

Grzegorz Markowski: Teraz takie rzeczy możesz robić co chwila i nawet cię nie zamkną.

– **Ciągle znajdujesz powód do buntu?**

Grzegorz Markowski: Buntuję się przeciwko złu – obojętności, pogoni za pieniędzmi.

– **Bardzo to zło niejednoznaczne. Wiele osób modli się o pieniądze.**

Grzegorz Markowski: Bo jesteśmy słabi. Gdybym miał na rękę złotego roleksa i pierścionek z brylantem, a wczoraj nawaliłbym się wódki, to dzisiaj głowa bolałaby mnie tak samo. Sam jestem dziś dość zamożnym człowiekiem, choć w porównaniu z Zachodem pewnie na poziomie ogrodnika Madonny. Widzę jednak, że relacje między ludźmi są przez pieniądze zakłócone. Pieniądze zrobiły więcej zła niż narkotyki, alkohol, władza, choroby. Sprowadziły

wszystko do konkurencji, która ma się nijak do poczucia wolności. Jak myśmy, mając lat 16, brali do ręki gitary, to chcieliśmy, żeby ktoś nas tylko posłuchał. Jeśli chciał nam jeszcze dać za to trzy złote, to byliśmy bardzo szczęśliwi. Dziś młodzi ludzie zakładają zespoły, żeby robić karierę. Motywacja jest zupełnie inna.

– **A Twoja motywacja teraz?**

Grzegorz Markowski: Ja jestem zadżumiony muzyką. To jak choroba psychofizyczna. Po prostu musisz to robić. Niesamowite, jak ludzie są związani z piosenkami, które były ważne na jakimś etapie ich życia. Jeżeli ktoś próbuje tym kuglować, to jest świnia.

– **Widziałeś „Beats of Freedom”? To prawdziwy obraz tamtych czasów?**

Grzegorz Markowski: Noszę go w sobie cały czas. To, co się działo w latach 80., nie zarosło jeszcze we mnie tłuszczem. Tak, to prawdziwy obraz. Jeśli mówi się, że rock and roll podmywał system, to prawda. Ale prawda jest też taka, że wszyscy się wtedy realizowali. Pili, bzykali panny, grali, byli na listach przebojów. Zarabiali fatalne pieniądze co prawda, bo ja za koncert dostawałem dolara minus dziesięć procent podatku, ale żyliśmy pełnią życia.

– **Byłam przekonana, że życie rock-androllowców w Polsce w porównaniu z tym, jak to wyglądało na Zachodzie, przypominało produkt czekoladopodobny...**

Grzegorz Markowski: Na całym świecie ludzi najbardziej nakręcają alkohol, narkotyki, kobiety i muzyka. Tylko że u nas były tańsze odpowiedniki. Dobra gitara znajdowała się poza zasięgiem, bo kosztowała 700 dolarów – pięcioletni dochód normalnego człowieka. Namiętności były jednak identyczne.

– **Istnieje jakiś kanon zachowań rockmana?**

Grzegorz Markowski: Tak. Muzyka. Silny afrodyzjak. Daje kopa. Kobiety patrzą na ciebie łaskawym okiem. I zawsze, żeby się rozładować, znajdują się używki. Kiedyś, w piątek, zagrałem w Rzeszowie, potem poleciałem, bez snu, pijąc alkohol, do Nowego Jorku. Poszedłem na koncert, który według mojego wewnętrznego zegara był grany o szóstej rano, a była dwunasta w nocy. Chłopaki zaczęli grać, a ja ni cholery nie wiedziałem, co to za numer. Byłem po prostu tak bardzo zmęczony. To była „Autobiografia”...

– **Czemu rockman musi przeklinać?**

Grzegorz Markowski: To nasze życie to taka kotłowanina szczęścia i nieszczęścia. Powodów, żeby wariować, jest bardzo dużo. Mieliśmy 36. rocznicę ślubu z Krysią i poszliśmy na spacer, pierwszy od chyba 25 lat. Następnego dnia widzę w tabloidzie 12 zdjęć – jak się drapię po plecach, idę, tu się uśmiecham, tu zapalam papierosa, mówię coś do żony. Zrobiło mi się niefajnie. Okazało się, że byłem obserwowany przez trzy godziny. Godziny mojej intymności. Nie była to wprawdzie sypialnia, ale poczułem się odarty z prywatności.

– **W wywiadach, których udzieliłeś, przewija się temat oddania żonie. I równolegle temat fascynacji innymi kobietami, i to w dużej ilości...**

Grzegorz Markowski: Jak to możliwe? Po prostu nie konsumować. Fascynacja kobietami to chyba uczucie, które nie opuszcza mężczyzny przez całe życie. Jak to się mówi: Panie Boże, zabrałeś możliwości, zabierz i chęci. Tych chęci jednak Pan Bóg nie zabiera.

– **Gdzie leży granica?**

Grzegorz Markowski: Czasami przytulam w mało elegancki sposób, ale w ryj jeszcze nie dostałem (śmiech). To forma zabawy raczej. Natomiast z uczuciami ostrożnie, bo to grząski teren. Jesteśmy małżeństwem od 1973 roku, łącznie z narzeczeństwem jakieś 40 lat. Bywały chwile słabości, pewnie po obu stronach, bo żona była tancerką i zjeżdżała świat w

towarzystwie pięknych, młodych tancerzy i chórzystów. Było w czym wybierać. Zawsze zostaje trochę niepewności. A może mnie zdradziła? Mam nadzieję, że nie.

– Czym jest dla Ciebie zdrada?

Grzegorz Markowski: Tym, że oddajesz komuś najbardziej delikatną, intymną stronę duszy i ciała. Mówi się, że zdrada fizyczna ma mniejsze znaczenie. Nie dla mnie. Nie znam pojęcia „seks bez zobowiązań”. Ale jesteśmy słabi. Robi się głupstwa, ale ma to bardzo dramatyczne konsekwencje.

– Wiesz to z doświadczenia?

Grzegorz Markowski: I z obserwacji, i z własnego doświadczenia. Miałem parę fascynacji kobietami i gdyby przybrało to formę aktywności, mogłoby się źle skończyć. Zawsze miałem te światełka ostrzegawcze, że nie wolno przekroczyć pewnej granicy. Bo ja bym z przyjemnością z tobą poszedł na watę cukrową, ale nie wyobrażam sobie mieć kogoś tak młodego za partnera.

– Ciebie nie dotyczy kryzys wieku średniego?

Grzegorz Markowski: Już go przeszedłem.

– Łagodnie?

Grzegorz Markowski: Stałem się bardziej niecierpliwy, ale to by było na tyle.

– A jakiś dramatyczny ruch typu zmiana samochodu na szybszy?

Grzegorz Markowski: Tak, ale sprawił to wypadek. Miałem mercedesa, którym się fatalnie jeździło. Znajomy zaproponował mi zakup fordą mustanga i go kupiłem. Ponad 350 koni, pięć litrów pojemności. Zrobiłem tablicę rejestracyjną „Filip”, czyli „Fifi” – na cześć wnuczka, i zostawię ten samochód do jego pełnoletności.

– A propos wnuczka. Kiedy opowiadałeś historie z życia rockandrollowca, nie zastanawiałaś się nigdy, co sobie pomyśli Twoja córka?

Grzegorz Markowski: Oczywiście. Musiałem ważyć słowa i musiałem Patrycji wytłumaczyć pewne rzeczy. Za chwilę sama weszła w tę branżę. Przyszła i powiedziała: „Tatusiu, wstąpiłam do zespołu bigbitowego”. Mi włosy stanęły dęba. Zacząłem ją uczulać na te wszystkie pułapki, na „smakołyki”. Na to, że musi się edukować, mieć jakąś alternatywę. Sam miałem 10-letnią przerwę i mogłem się wziąć za coś innego.

– Prowadziłeś firmę budowlaną, która miała swój udział w budowie stacji warszawskiego metra.

Grzegorz Markowski: Tak. Od jedyńki do siódemki, bo wtedy te stacje nie miały jeszcze nazw. Jak widzisz tam różne brązy, szarości, glazurę, terakotę, to moje roboty wykończeniowe.

– Zdarza Ci się jeździć metrem?

Grzegorz Markowski: Dwa razy w życiu. W nocy po imprezie. Byłem lekko napity i wzruszony. To był kawał życia. I to trudny. Tam nie było zaplecza, wody, toalet. To były takie bunkry jeszcze, które dopiero się uzbierały.

– Taka praca uszlachetnia?

Grzegorz Markowski: Taki mozół to trochę sprawdzian – że jeśli znajdę się na pustyni albo w dżungli, nie zginę. To bardzo męskie. Wcześniej był puder i panie mnie czesały, a potem

nagle cement, wapno, dechy i trzeba pracować, mimo że jest zero stopni.

– **Nie przejmowałeś się nigdy, że odbiegasz od klasycznego wzorca ojca?**

Grzegorz Markowski: Nie. Patrycja widziała jedną rzecz – to nie były bachanalia.

Wyjeżdżałem w trasę koncertową i wracałem bardzo zmęczony. Potem były różne działania, płyty, nagrania. Widziała, że jest tu jakiś element zabawy i różne grzeszki, ale z drugiej strony to po prostu praca, której trzeba oddać bardzo dużo siły, energii i psychiki, żeby ją uprawiać uczciwie i zawodowo. Poza tym nigdy nie widziała, żeby coś złego działo się w naszym małżeństwie. Ani że ja pół roku nic nie robię, a za łóżkiem stoi flaszka. Zawsze było jakieś działanie.

– **Czegoś żalujesz?**

Grzegorz Markowski: Przegapionej młodości. Że zbyt późno się czytało Hessego i Bułhakowa. Że takie były dziury w edukacji. Świat literatury jest tak piękny, tak ponętny i tak niezmierny...

– **To przecież nic straconego.**

Grzegorz Markowski: Niby tak, ale lepiej by było patrzeć na życie z ich perspektywy, kiedy jest się jeszcze bardzo młodym, otwartym. Ja skonstatowałem, że trzeba to nadrabiać, nawet nie z poczucia, że wypada, tylko pochłonęła mnie literatura. Rzeczy niepomierne piękne, wrażliwe, często chyba ładniejsze niż muzyka.

– **Tęsknisz za poczuciem, że to, co robisz, jest dla innych naprawdę ważne?**

Grzegorz Markowski: Ależ oczywiście. Dzisiaj wszystko straciło na świeżości, autentyczności, stało się przewidywalne. Wtedy to był gejzer uczuć. A teraz człowiek porusza się w permanentnym stanie dobrobytu i brakuje mu tylko emocji. Sąsiad jest bogaty, więc ma wzniesiony płot i zamkniętą bramę. Ludzie się nie znają, mieszkając drzwi w drzwi. Wołałem te puste półki. Jeździłem wtedy trabantem, ale uczuć było dużo.

– **Czujesz tę emocjonalną różnicę, stojąc na scenie?**

Grzegorz Markowski: Emocja jest taka sama, tylko wtedy było łatwiej o erekcję. Artystyczną i dosłowną. Dzisiaj trzeba dłużej nad tym popracować, ale się zdarza.

– **To dobrze. Poza piosenkami odzywałeś się kiedyś z rzadka.**

Grzegorz Markowski: Było mi to zabronione przez ówczesnego lidera Zbyszka Hołdysa, który tylko jak się zmęczył, mówił: „Markosiu, powiedz coś”. Ale zazwyczaj był nie do zdarcia. Miał takie ciągoty zawłaszczeniowe. Nawet jak były jakieś konferencje prasowe, to myśmy siedzieli jak cztery barany idące na rzeź. Byliśmy zaanektowani przez wielkiego guru i to był wielki zaszczyt, że byliśmy członkami jego zespołu.

– **Miałeś kompleks Hołdysa?**

Grzegorz Markowski: Na początku chyba wszyscy go trochę mieli. Przebojowy, silny, energetyczny, zdolny. Ale mijał czas i okazywało się, że tu miałość i tam miałość, tutaj głupota, tu jakaś drobna nieuczciwość. Nie facet ze spizu, tylko normalny człowiek. A nam się wydawało, że istniał hołdynizm, a my byliśmy jego wyznawcami. Musiałem tę wiarę porzucić.

– **Brat ksiądz Cię nie nawracał?**

Grzegorz Markowski: (Śmiech) Rafał to jest facet z krwi i kości. Urodziwy i przystojny. Kiedy jest na wczasach, kobiety patrzą na niego dość łakomie, a on musi dawać sobie z tym

radę. Jest takim samym pasjonatem pracy jak ja. To jest praca, która zabiera ci masę sił, której oddajesz się do końca, w której jest się 24 godziny na dobę. Pod tym względem te prace są do siebie bardzo podobne. Z tą różnicą, że w moim pokoju hotelowym może siedzieć obca kobieta i może stać butelka alkoholu na stole, a on musi siedzieć sam i raczej bez promili.

– **Spowiadasz się bratu?**

Grzegorz Markowski: Nie powinno się. Zrobiłem to raz, w wyjątkowych okolicznościach. Czekala mnie operacja, której ostatecznie uniknąłem. Nie było czasu na szukanie innego kapłana.

– **Potraktował Cię łagodnie?**

Grzegorz Markowski: Bardzo (śmiech). Jedyne pytanie, jakie zadał, to czy kogoś nienawidzę. Powiedziałem, że nie.

– **Nienawiść to największy grzech?**

Grzegorz Markowski: W pojęciu kapłana z otwartym umysłem – tak. Mamy drobne rzeczy, którym nadaje się wymiar grzechu, czyli że nie poszedłem do kościoła w niedzielę albo powiedziałem „cholera”. I mamy nienawiść, która jak człowiekiem zawładnie, to człowiek przestaje nim być.

– **W co wierzysz?**

Grzegorz Markowski: Na pewno wierzę w miłość.

– **W postaci żony?**

Grzegorz Markowski: Kryśka daje mi masę optymizmu. Bywam nieznośny. Rano jestem wkurzony po źle przespanej nocy, a ona schodzi na dół, śpiewając „Czerwone korale”, i cała złość przechodzi. To jest terapeutyczny, piękny zabieg. Kryśka jest taką osobą, która na przyjęciach rodzinnych działała na dzieci jak Kaszpirowski. Siadały koło niej i zasypiały. Tu harmider, woda się leje, a te śpią jak dwa gołąbki. Tak samo dzieje się ze mną. Jak ona mnie nie dotknie, to nie zasnę.

– **Dosłownie?**

Grzegorz Markowski: Dosłownie.

– **To jest taki archetypowy związek damsko-męski – kobiecej kobiety z męskim mężczyzną?**

Grzegorz Markowski: Tak. Choć Kryśka jest w stanie zrobić ze mną wszystko. Delikatnie, po kobiecemu, twierdząc, że decyzja jest po mojej stronie. Potem następuje moment perswazji i podania w wątpliwość mojej decyzji, aż dochodzę do wniosku, że faktycznie ma rację.

– **Słynny podział na głowę i szyję?**

Grzegorz Markowski: Dokładnie. Ona jest świetnym strategiem. Bardzo podobnie postrzegamy świat, patrzymy na sprawy materialne, na sztukę. Podobają nam się raczej te same rzeczy. Rzadko pojawiają się jakieś kontrowersje.

– **Przestraszyłeś się, kiedy zerwała zaręczyny?**

Grzegorz Markowski: Ona to zrobiła, bo nie chciałem się uczyć. Chodziła na wywiadowki do ogólniaka jako moja starsza siostra do czasu, aż mnie przyskrzyniła nauczycielka, jak się z siostrą namiętnie całowałem na peronie (śmiech). No i Kryśka powiedziała, że zerwie zaręczyny, jak ja tej matury nie uklepię.

– **To była realna groźba?**

Grzegorz Markowski: Mam nadzieję, że nie (śmiech). Podziałała jednak jak kubeł zimnej wody, bo zacząłem dostawać piątki. Zrobiłem maturę, poszedłem do pracy, a potem zaczęła się muzyka.

– **I to wszystko zasługa żony?**

Grzegorz Markowski: W zasadzie wszystko. Miałem takie ciągoty, że nie wiem, czy gdyby nie ona, to bym dzisiaj w mafii nie przewoził jakichś dziwnych rzeczy z Meksyku albo spirytusu z Niemiec. Wychowałem się w kryminogennym środowisku. Józefów był małą miejscowością, w której było dużo biedy, a bieda rodziła agresję. Nasz tata prowadził roboty budowlane, w miarę szczęśliwie, więc stać nas było na dobre kurteczki, na wycieczki, na życie bez dużych upokorzeń, choć niezbyt bogate. Ale we wszystkich domach naokoło był ktoś, kto siedział. Wszyscy nasi najbliżsi koledzy, z którymi się wychowałem. Sam miałem impulsywny charakter, lubiłem tych swoich kolegów. Potatuowani, pocięci, po wyrokach...

– **Imponowało Ci to?**

Grzegorz Markowski: Oczywiście. Niedużo brakowało, żebym gdzieś tam nie skręcił. Na szczęście kobieta czyni cuda.

Rozmawiała Ola Kwaśniewska

Zdjęcia Marcin Kempski/ILIKE-PHOTO.COM

Stylizacja Pola Madej-Lubera

Asystent stylisty Maciej Budek

Charakteryzacja Magdalena Kossakowska

Fryzury Emil Zed

Produkcja Szymon Machnikowski

Najnowszy album Grzegorza Markowskiego i Ryszarda Sygitowicza – „Markowski & Sygitowicz” już w sprzedaży.